

Jest jak być powinno

Jacek Adamczyk

Kraków czerwiec 2017 / luty 2018 / maj 2018 /czerwiec 2018 / sierpień / wrzesień 2018

Tyle wystarczy

Za oknem popołudniowe napięcie zbyt ciepłego powietrza, którego nieopisane aspekty zapewniają zatrutą oddychalność, konieczną, aby jeszcze trochę maszerować, bo trudno to nazwać spacerem, kiedy zjawiłem się powołując się na ciekawość, pamięć, zazdrość albo brak alternatywy.

Potem usiadłem zdezorientowany, dawno tutaj nie byłem, zadowolony, że raczej nie jest mi po drodze, nie jest na drodze, nie muszę tamtędy chodzić, a już na pewno nie podążać, nie obierać za cel, nie patrzeć na zegarek, o tej porze nie mający żadnych istotnych spostrzeżeń i uwag.

Następnie zacząłem dostrzegać przechodniów, odróżniać sposób poruszania od sposobu zamierania, które jest naturalną konsekwencją bycia w tym miejscu, dla kogoś, kto nie musi o tym myśleć, jak o dokuczliwym wyrzuceniu poza z trudem znaleziony szlak.

Już było późno, jak dla mnie, wtedy czuję się trochę rozdrażniony stratą czasu na rzecz wydarzeń obcych, chciałem tylko żeby jeszcze coś przykuło uwagę, nadało choćby złudzenie sensu, ale oczy już się zamykały, a inne zmysły także stwierdziły, że już wystarczy.

Moralnie obojętne

Do tej kategorii należy przede wszystkim historia, nasze porażki i miłości kruche, doświadczenia wspólne, które nagle, w szorowaniu analiz, stały się obce i podejrzone, jak noce zmęczenia, aż do poranków, na które nie brakowało siły i kawy zbożowej, piersi rozrywanych bólem istnienia i cholernym żalem, że odeszła z tym jakimś tam.

Kolejna kategoria to wybory, by być albo nie być, jednoznaczne z niepodawaniem ręki, w miarę jak w głowach otrutych powodzeniem, rosło podejrzenie, że się nie opłaca, albo, że odkryty nagle talent do publikacji literackich ambicji, wymaga bywania tam nie tutaj, wszystko, niestety, w ramach ewolucji powszechnej teorii na temat cudzej ignorancji.

Idąc dalej jest tworzenie zamkniętych kręgów, albo zbiorów pozornych, zapełnionych próżnią, starszą siostrą próżności, która triumfalnie wstąpiła do mieszkań pozbawionych ubóstwa, na które zasługiwały archaiczne księgozbiory, butelki po egzotycznym winie, wypożyczone płyty, wszystko, co wymiółł gwałtownym gestem przeciąg, wiatr pozbawiony jakichkolwiek wzruszeń.

Potem potykamy się o triumfującą arogancję, kabotynów i uśmiechnięte fotografie arywistów, członków nowych plemion, które zajęły terytoria pogan, kłusowników i zbieraczy miodu, naiwnych, pogodzonych z narracją gazety, tłumaczącej dlaczego złodziej i mentalny pasikonik są teraz elitą, nie odróżniająca *pro publico* od *pro domo*, albo twoja mać od Alma Mater, Europejczycy bo tak.

Później musi nadejść paląca potrzeba dorównania miernotom celebrującym paznokcie u nóg, latem, zimą wybierającym pobyt w miejscu, w którym zima jest okresem wyprzedaży, nie pada śnieg, cień, a jeśli się nie uda, to z grymasem wyższości ustawia się znajomych w ciasny szereg, śpiewają pieśni, o czym znajdzie się informacja w wiadomościach, które nieopatrznie muszą czytać polubieni inni.

W końcu jest mordowanie i dobijanie metafory, zagłodzonej ochłapami wyrwanymi z gardła pamięci, satysfakcja maruderów wypchanych przed szereg, zajmujących miejsce należne istotom zaginionym, na miejscu drzew wstawiających papier felietonu, bełkot oburzenia, podłe przekonanie, że oto jest wszystko dozwolone tym, którzy odbierają innym wolność pozostania pod niebem z gwiazdami.

Ukryte pragnienia

Nie bardzo wiadomo dlaczego powstała koncepcja, że można określić tożsamość poprzez niewyraźne stany, o których niewiele można powiedzieć, więcej niż to, co już powiedział pewien przedwcześnie zagubiony malarz, spędzający każdy wolny dzień nad brzegiem urwiska, gdyż stwierdzał, że jeśli mu się uda zrozumieć istotę, pokazać istotę, podzielić ją na współleżące figury, dotknąć szczecina pędzla, to wtedy odetchnie, uspokoi się wreszcie, takie pragnienie.

Chciałoby się, ale nigdy się nie uda, aby dołączył do niego śpiewak, zajmujący się śpiewaniem po pracy, ale za to właściwie codziennie, jak inni nucą oglądając wiadomości, kosząc trawę, ale on wychodził przed wieczorem i trwał pod sklepieniem nawy głównej, z kolegami ucząc się frazy łacińskiej, włoskiej, niemieckiej, zanim wreszcie odważył się śpiewać, trochę w chórze a trochę poza nim, czuł, że mógłby jeszcze bardziej, jaśniej, takie pragnienie.

Nie mieliby nic przeciwko gdyby, dołączył do nich niezbyt utalentowany entuzjasta gry na flecie prostym, bocznym, piccolo, które ofiarowywał zakłopotanym ptakom, głuchym ślimakom, zrezygnowanym sąsiadom, psu nawet kiedy wiedział, że na tym może się skończyć, zanim ktokolwiek się do niego uśmiechnie, poklepie po ramieniu, potem zaprosi na kubek herbaty albo szklankę wina, żeby jeszcze rozmawiać o muzyce, takie pragnienia.

Trudno sobie wyobrazić, ale dlaczego nie, że dziewczynka bawiłaby się nieopodal, znudzona lalkami i poobijanymi naczyniami z czasów, kiedy jej siostra także była mała, prowadzona pierwszą ciekawością i zdumieniem, podeszła, podczas, gdy oni nawet nie rozmawiali, siedzieli wpatrzeni w nagle pogodzoną samotność, a ona już na zawsze miałaby skłonność do wydobywania ważnej nuty, dźwięku słowa, barwy z piasku,

takie pragnienia.

Gdyż one nie łączą, nie podają rąk, nie ustępują ani na trochę, nie są przyjazne.

Nie po to je stworzono, żeby dzielić się nimi z byle kim, nawet z tobą, przepraszam.

Zresztą nikt nie jest dostatecznie doskonały, by zasługiwał na wiedzę większą niż nasza.

Rosną pod płótem, co oznacza, że omija je każdy pośpiech i każda szansa, tam lata trzmiel tylko.

Są jak chwasty, silniejsze od trawy i domowych malin, mają ciekawą postać, czasem trującą.

Nocami przechadzają się po rubieżach konkretnych wydarzeń, koszmarów o świcie i później.

Rysują doskonalszy kontur, czarną linię wokół naszych sylwetek, przecinaną paloną sieną.

Spoglądają zza pleców, bez wiedzy fotografa, potem nie wiadomo czy je zatrzymać.

Takie pragnienia...

No i co z tego, że deszcz?

To jest wielka tajemnica stwierdzeń zupełnie niczego nie wnoszących ani do tajemnicy, ani niczego, oblepiających retorykę przetłuszczonym błotem wyrazów, które muszą następować po sobie, znowu, tak, jak teraz musi pojawić się słowo czasownik „wypełnić”, jakżeby inaczej, czekaliśmy na nie, już, albo tyle innych warujących w szeregu, zmienionych w stada bez znaczenia, semiotyka, a jakże.

On to potrafi, mnie to mierzi (cóż za wspaniały kawałek mowy, że coś mnie mierzi, niby co ze mną?), chyba wychowałem się inaczej, jeszcze wtedy, gdy on na szyi nosił zawieszane wszystkie zdania, ale, nie rzucał oszczepem, raczej popychał skórzano- drewnianą tarczą, dobrze udaje szkło, a jest ostre, musiałem gdzieś przeczekać, przyczaić, aż oni przejdą, chyba jeszcze nie, lubią parady, kto by nie?

No to się dziwię, stać mnie na to, sam siebie pocieszam, właściwie to nie rozmawiałem o tym, no, nie udawałem, że mam nadzieję zwrócić uwagę, skoro nawet moja nie chciała, prosiłem nawet, można, naprawdę można nazywać to potknięciem i wgnieceniem w pancerzu zmęczenia, chyba, trzymaniem na zwykłym sznurku, na odległość rozbitej szklanki, w zielonej herbacie, hymnu.

Bo gdy powstanie potworność największa, naszego czasu przeklętego cienie
Wrócą me druhy, pozbawieni złudzeń lecz nigdy prawdy, ust wygiętych śmiechu,
By stanąć obok, podnieść pod ramiona, zwołać raz jeszcze twarde karków plemię,
I iść przed siebie, z sobą w zgodzie śpiewać, że jest to walka ciągle warta grzechu.

Wstaną do pieśni,
do zdzierania gardeł,
piękni, nie wdzięczni,
odejdą, wielcy...

deszcz ich tylko zmoczy

Nie dając się, nie oszukując, nie idąc

To jest powstrzymywanie ręki, w której jeszcze niedawno tkwił ołówek, bawiąc się szkicem, zazdroszcząc tego, co Peter Starszy wyrabiał z kawałkiem ołowiu czy grafitu, kiedy budował niezrozumiałe wieże, korowody, zagubionych bohaterów i mity; także weselne, spocone policzki, blade zaskoczenie przez śmierć, a nam się wydaje, że to wszystko magia albo naiwne schlebianie kupcom, prałatom, epikurejczykom, bo przecież nie Erazmowi, Ferdynandowi, księżniczce Alba.

Powstrzymywanie układania słów, jak kiedyś rzucanie się na litery, zdania i parafrazy, z których nic sobie nie robią Jorge Luis, Julio, Gabriel; ja też nic sobie z nich nie robię, kiedy jeden jest tylko ślepym pomnikiem, drugi smutnym źródłem aforyzmów, trzeci ogląda filmy według własnych powieści; bo nikomu nie będzie darowane istnienie, jakiego pragnął, czy to głosem ochrypłym (Litwa), czy głosem cichym (Litwa), czy czułym przemawianiem do kota (Warszawa, Kraków), nie pamiętam.

A jeszcze do tego wyroili się poeci, galwanizowani prądem spotkań autorskich i wydań zbiorowych, docierający na tą stronę po moście zamieszczeń i antologii; nie mówiąc już o malarzach, kiedy dekompozycja i nonszalancja zastąpiły linię wybraną jedną z miliona, wśród wrzasku plam, z których żadna nie ma najmniejszego sensu, poza spojrzeniem przez kieliszek kwaśnego białego wina, hipokryzję właściciela lokalu i poranny marsz, jednych i drugich w źle dobranych płaszczach, dysząc.

Zupełnie lekceważąc popisy udawania, czy to z użyciem wyrazów, czy samemu będąc wyrazem, nie mogąc zrozumieć, dlaczego to takie ważne, żebym uwierzył w skrzywienie desek sceny, sztuczny pejzaż przesuwany za szybą, kiedy ktoś na mnie krzyczy, albo dobiera się do mnie przez zmęczone oczy, uszy ochryple od równych rytmów, proste uderzenie lub kpina suspensu, dla którego zawsze mam ten sam komentarz, kiedy już wszyscy zbieramy się do wyjścia: „a kogo to obchodzi?”.

Kiedy do tego wracam, to czuje się bardziej zmęczony.

Fizyczna możliwość i niemożliwość

... jest wtedy, gdy usiłuje odzyskać powietrze zamknięte pomiędzy dwoma taflami szkła, nie biorąc pod uwagę, że ktoś się bardzo stał by je stamtąd całkowicie usunąć, albo, gdy ledwo dostrzegalny horyzont, wypełniony szarością, białością, czernością sprawia wrażenie, jakoby ukrywał kolory i tylko czekał na odkrycie w strumieniu światła, podwodnego.

Zwykle nie jest wtedy konieczna żadna antropologia, bo kosmos duży i mały, doskonale daje sobie radę bez naszego zgiełku, zakatarzenia, niecierpliwości i zdecydowanego przemijania, sam ustalając kiedy się poruszyć, zniknąć albo stworzyć nowe zaczyny pierwiastków, chociaż odkryliśmy już wszystkie, nawet takie, które drwią sobie z czasu i przestrzeni, z mgnienia oka.

Jednak i to jest niesłychanie oddalone od dylematu bezdomnego psa, zmarzniętego tej zimy, ledwie trzymającego się na nogach z głodu, zmęczenia, zagubienia, które jest skutkiem braku perspektyw, one do tej pory wiązały się z nielogicznym przywiązaniem do świata ludzi, lubiących kaleczyć to, co jest ciągle słabsze, uzależnione, już niepotrzebne, należy do epoki dawnych panów i innych pań.

Od refleksji, żywiącej się zdrowym nawozem danych statystycznych i stochastycznych, oczywistych dla zbieraczy minerałów, grzybów, rzadkich liści, ewentualnie powtarzających się zachowań, migawek widocznych na światłoczułym pergaminie, papierze, ofercie jakiegoś drzewa, celulozy, kredy, jury, wzbudzając usprawiedliwione zażenowanie i wstyd u autora sonetu, ody, śliny cynizmu za słowami.

Tymczasem, piękne słowo „tymczasem”, ogłasza się mobilizację sygnałów odbieranych przez zmysły, trochę przez pamięć i całkiem sporo poprzez rutynę, unikanie nadmiernych przeszkód, nieuzasadnionego wysiłku, odmawiania mnożenia niepotrzebnych bytów, falsyfikowania i oddzielanie języka od meta-języka...

Idę na spacer, wstąpię na herbatę, wymarzyłem sobie miejsce na tarasie z nienarzucającym się widokiem na przechodzących różnych ludzi, na ptaki i na psa, który leży mi przy nodze i zupełnie nie przejmuje się tym, że wszystko jest, stało się, bywa astralne.

Kosmos męczący

Dotyczy obiektów o jakiegokolwiek charakterystyce fizycznej i metafizycznej, pozornie niezależnych, a tak naprawdę uwięzionych w arytmetyce pól, oddziaływań, małych paczuszek energii, obojętności, obserwowanych ze zbitych promieniowaniem łańcuchów górskich, w ciszy miliarda szumów i strun, oraz przesiąkniętych dymem gabinetów, gromadzących kurz, niedomyte filiżanki po mocnej herbacie, tworzących gburowatych mędrców, ambitnych komiwojazerów matematyki, zwykłych ludzi.

Tylko czasem zawdzięczam im odkrycie znaczenia różnic, gdyż wszystko jest różnicą, albo strukturą, jakie ma znaczenie, jeżeli mam oczy pełne piasku, mogę liczyć ziarna piasku, mogę tego nie robić, tak długo, aż przekonam się, że koncepcja ja to tylko bzdura, wydrwiona przez twórcę tylu eonów, że kiedy brałem do rąk kruchość wzruszenia, żal straty, niepewność poranka, tam wszystko trwało, bo przecież ilość czegokolwiek gdziekolwiek jest skończona, od zawsze mogłem tylko wierzyć, szkoda.

Skóra jest coraz bardziej sucha, chropowate gniazda stawów słuchają tylko leniwego instynktu, głodu, przemieszczam się, rezygnując raz i na zawsze, bo tyle jeszcze potrafię, zestarzały zdobywca, kurier, własnych wiadomości, pozbawionych elegancji informacji, odwrócony od lustra bo znam je dobrze, wtedy dostrzegam słabo oświetlony Księżyc, poobijany kamieniami wysłanymi z ciemności, pustki, i cieszę się, że stoimy im na drodze, muszą się z nami spotkać, chociaż gardzą naszym istnieniem.

Proporcje

Związek ten jest poddany nieubłaganej weryfikacji odległości,
niech nikt nie wierzy, że chodzi o proporcjonalność i jej odwrotność,
podobnie z innymi cechami tej relacji, czysto fizycznej przecież,
oddziaływanie, grawitacja, odpychanie i przyciąganie, zwykła materia,
jakkolwiek ożywiona, to przecież trywialna, uproszczona w kierunku nic.

Bo ktoś tak wymyślił, starał się i zapisywał w brulionie wyniki testów,
doświadczeń, po których coraz bardziej brakowało nawet nadziei, co dopiero...
górną byli badacze, akceptujący błąd immanentnie wpisany w ciebie i we mnie,
sugerujący, że dokonano wszystkich pomiarów, dość by móc cię zapamiętać.

Poddaję codziennej weryfikacji przesłanki i wnioski, tak jest bardziej chłodno i poważnie,
skąd miałem wiedzieć, że odległość mierzona obustronnie wyciągniętymi ramionami,
jest odwrotnie proporcjonalna, nieproporcjonalna, absurdalnie nieosiągalna, bliska zeru,
kiedy ulega siłom wcale nie tak pierwotnym, zwykłej rutynie rezygnacji, śmierci pragnienia.

Niezwykła różnorodność (dokonywania) ubrań

Prostota postaci, analiza mięśni i ścięgien, jak na szkicach Leonarda, gładkość albo plamistość powierzchni, sugestia włosów albo otarcia, doskonała linia pomiędzy doliną talii a pośladkami bioder, magiczna ścieżka opadająca od chrząstki gardła aż pomiędzy piersi...

Okryte, zmienione i zamknięte płachtami bawełny czy jedwabiu, lnem, dodające kąty i załamania, inne linie, których nigdy tam nie było, uwodzące w kierunku wrażenia pracy, miękkiego rzemiosła i handlu, opartych na wpajaniu w nas wizerunku, który wymyślił ktoś obcy.

Dystynkcja zagłębienia między szyją a ramieniem, zgięcia łokcia, albo pulsujące warstwy tkanki, kiedy nogi lepiej lub gorzej idą, odpoczywają, zagadki łuku pleców, który naśladując grzbiet wydmy, znika, powraca, znika, pojawia się kropla potu, palce stóp badają przestrzeń, drży poduszka brzucha.

Kolorowe desenie i wdrukowane cytaty z rozmów obojętnych, może gwiazdy, wiele przemyślnych detali podyktowanych wygodą i poszukiwaniem rozgłosu, niby dla podkreślenia, skreślenia, określenia bo mamy możliwość wyboru, zawsze zbroja z cienkiego szkła wyobraźni, zatarcie za brakiem proporcji.

Prostota prawdy jest nieubłagana, nie wiemy jak sobie z nią poradzić, okrywamy ją zręcznie, maskujemy od twarzy aż po filigranowe kości stopy, odmaszerowujesz w jakimkolwiek świetle, może w zielonym, potem jasnym, lecz to nie ty, tylko powieszona odzież, zmięta tkanina wyobraźni.

Szukając pogodzenia z niezastąpionym sposobem na poszukiwanie skarbów, będących tylko kuglarską pułapką postradzonych zmysłów, śmiechem i żalem, a dotkliwym zapachem i smakiem skóry, zmęczenia lub gotowości na uderzenie, jakim jest zbyt wiele światła, zasłoniętego deseniem twoich wybranych ubrań.

Pogodzenie z pogodą.

W końcu należało się spodziewać nadejścia zmian w dotychczasowych wrażeniach powietrza, które jest słusznie i nie słusznie utożsamiane także z promieniowaniem kosmicznym i innym, po tylu latach i zimach nie należy ulegać złudzeniu, iż cokolwiek jest wolniejsze i niewyczuwalne, jak ruchy tektoniczne kontynentów, kto by się nimi przejmował, kto by je akceptował codziennie, zapominając, że dzień albo noc są przykładem braku jakiegokolwiek czynnika stałego, planu, w którym punkt orientacyjny jest równie stały jak ból, który przychodzi, gdy zdajemy sobie sprawę.

Odeszła albo odszedł, deszcz zaczął się albo właśnie skończył, łąka jest duszna od roślin albo właśnie znikną ostatni kosmyk trawy, pozostał jakiś gest lub zbędne przedmioty, w tym fotografie, nigdy nie ustające defilady obłoków, pierwsze krawędzie lodu w kałużach, jak wróżby lekceważone śmiechem, bo przecież trwać będzie zawsze.

To nie pojęte, krocie rozczarowania, nie pierwszy raz chociaż nie wiadomo czy ostatni, bo udawało się panować nad naturą, pałac korzenie, pałac liście (listy?), drążąc chodniki w zimnie, tego roku, wczoraj, kiedy już nie będzie innego wyjścia, lekceważąc skostnienie i arktyczny front, nie potrafiąc oddzielić strug wody zmywających szarość od szarości, która nastąpiła potem, chyba.

Różnica wieku

Nie mamy wspólnych tematów, nie mamy wspólnych poglądów, tajemnic, żadnych obumierających roślin, słów wieszczka albo *maître penseur*, tym bardziej, przekonań ani zaschłych rozczarowań, inny krzyk budzi nocą inne demony, skóra na dłoniach jest jak mapa dróg przebytych oraz jeszcze nie tkniętych.

Co jest? Węże ślizgające się w spoconej pościeli, odkrywanie znaczenia obrazu, przekleństw, które czasem znaczą coś podobnego, słownik wyrazów obcych, jezioro, odbijające tylko kolory, niecierpliwość, pożądlivość, smakowanie zapachu, znużenie, kroki na korytarzu i zdejmowanie ubrań, ignorancja na początku i na zakończenie.

Nawet jednej koncepcji czasu nie można uzgodnić i przestać do tego wracać, nawet nazwy nadawane rzeczom i zwierzętom, tkliwości palców nie są takie same, niezrozumiałe miejsca pełne lęku, odwiedziny roześmianych gości, żal za dniem, lekceważenie dla utraty lub zdobywania, milczenie, które jest nagrodą a nie rozstaniem.

Co się uratowało? Barcelona wczesną jesienią? Paryż na kilka dni? Bukowe Berdo pod śniegiem? Kąt w schronisku pod Glocknerem? Niewielka plaża na wyspie koło Maslenicy czy Fethye? Jako możliwość i zgodność pomiędzy mapą i zwróceniem uwagi, dodawaniem podpisów, jako nieustanne powracanie fal oraz fenomenalna niespieszność opadających płatków?

To tylko pułapka, dlatego ten chory i bezużyteczny wilk idzie przodem, może zniknąć, dlatego nie przekonuje mnie żadna opowieść oparta na pysznej wyobraźni i brawurze, dlatego boję się niewstrzemięźliwości w zbieraniu muszli, wypijaniu młodego wina, dlatego ja nie jestem dla ciebie, ty nie jesteś dla mnie, poza tym nie wierzę and tobie ani sobie.

Punkt oparcia

Najchętniej znalazłbym go pomiędzy kością ogonową a karkiem,
miejsce, którego nie doświadczam zanim przyjdzie bezsilna udręka,
na którą pracowałem od 4 rano do późnego popołudnia, czasem dłużej,
udawałem, że zaraz minie, kiedy usiądę, pochylę, wystukam palcami rytm,
lekceważąc wielkie połacie powietrza, krople potu i wątpliwości.

Zanotowane w ukrytych wysoko zeszytach, bardzo lubiłem je kiedyś, bo uspokajały zbyt nerwowe wynajdywanie dobrych wymówek. Potem nikt już tego nie potrafił odczytać, ale czy to ma jakiegokolwiek znaczenie? Nasłuchałem się i napatrzyłem, aż do gardła podchodziły kwaśne i nieprzyjemne resztki prawdziwych zdarzeń. Marnując czas i jeszcze więcej czasu byłem jak kręcący się wokół siebie baletmistrz w kostiumie klauna, Pierrota, smutnego idioty. Udało się odejść, przez kilka tygodni nie działo się nic. Potem były już tylko sprawozdania z zakończenia nieudanych poszukiwań. Tak bardzo chciałbym żeby już nadeszło przedawnienie.

Paradygmat tchórze. Inne wszechświaty. Inne wyspy.

Niestety jest planetarny, na wskroś naiwny, przypomina dziecko schowane za ostoną dłoni.

Powstaje przede wszystkim jako wynik analizy sposobów ucieczki przed grozą oczywistości.

Któż bałby się oczywistości? Niewątpliwie jest spora grupa zainteresowanych i wyrażających taką potrzebę. Wtedy, gdy przychodzi późny wieczór albo kiedy nie można zasnąć, bo każdy ruch boli z powodu poruszonych, już usuniętych w głąb głowy, już otępiałych i opakowanych myśli pierwszych. Nie odbywa się wysoko, nie w stratosferze, nie w uścisku chmur czy śniegu, nie, zupełnie nisko; gdzieś pomiędzy konturem brwi a czerwono-brunatną linią poniżej pępka. Niekiedy upada pod stopy.

Jest nieodmiennie obecny, tkwi niezbyt dumnie jak łuk w worku na plecach, broń także nazywana wyposażeniem tchórze.

Ma się dobrze, zwłaszcza ze względu na demoniczną siłę przyciągania i odpychania daleko.

Kogoś to interesuje? Raczej znajdujemy wysiłek, by nigdy z tego nie korzystać. Obawiamy się równie mocno przyczyn powstania jak i zadawania pytań. Nie ma mowy o odpowiedziach, bo kiedy znika objaw znika chęć do chodzenia tamtędy. Nikt nie będzie przecież bez powodu narażał się na spotkanie z lustrem, albo z ogrodem, albo ze spowiednikiem, który nie zna tej zasady. Poza tym trudno się komunikować przebywając daleko stąd, zaczynając od początku, ignorując zasadę końca, nieskończoności, zera absolutnego, promieniowania od wszystkich, którzy postanowili się minąć.

Jest na wpół człowiekiem na wpół ekspozycją resztek po katastrofie. Tylko wpół człowiekiem! I co taki człowiek może zdołać?

Buduje się go tylko w przestrzeni. Jednak budowie towarzyszy wiele zjawisk. To konieczne.

Jak się z niego korzysta? Tutaj większość odpowiedzi byłaby dobra. Ma przecież olbrzymią powierzchnię i objętość. Często się zmienia, bo jedni lubią szelest liści, inni skrzypienie lodu na rzece, inni tylko by siedzieli, a inni tylko szli. Ponieważ zjawisko nie może się bez nich obejść. Zasadniczo nie należy liczyć na żadne spotkania. Wzajemne usprawiedliwianie albo męczarnie opowieści prawie się nie zdarzają. Chyba, że ktoś lubi lub potrafi mówić do siebie. Niezwykłe, prawie wcale nie ma romantyków. Raczej cynicy i egocentrycy. Tchórze.

Nie musi podążać w ukryciu. Nie musi się zmieniać ani używać maski. Doskonale wygląda idąc równym krokiem. Zdecydowany.

Tylko on lub ona, przez krótką chwilę, zdaje sobie sprawę z faktu, że już nie żyje. Oczywistość okazała się znowu szybsza i skuteczniejsza. Pozostawia na wpół zbudowane wyspy, habitaty, hamaki rozwieszane nad przepaścią, odległe gwiazdy, do których prawie mu się udało dotrzeć dzięki osiągnięciu prędkości ucieczki. Wraca czasem do tej żmudnej pracy, ale już w nią nie wierzy.

Tworzenie wymaginowanych miejsc w celu uniknięcia konfrontacji z rzeczywistością jest przykładem tchórzostwa; w najlepszym razie braku dojrzałości i właściwych zdolności dla podejmowania właściwych czynności. Bohaterowie nigdy nie uciekali przed odpowiedzialnością w wymaginowane przestrzenie, do miejsc które nie istnieją, na planety pozbawione konieczności powolnego umierania.

Lustra i echo

Ponieważ zwielokrotniają, a niektórzy także twierdzą, że oszukują lub podniecają.

Wtedy są na poziomie lubieżności lub smaku pozbawionego kolorów i wyszukanych dźwięków, nie są z pogranicza milczenia i ogłuszającego łoskotu lawiny, burzonej katedry, ciszy, która jest przed i po. Cieszą oko i zdumione uszy. Sprawiają, że igraszki mają wielowymiarowy aspekt matematyczno-metafizycznych nadużyć koncepcji równoległości. Dźwięk nie należy do nikogo z nas, bo przychodzi z chłodnego dna studni, z załamania doliny, z nienawiści i pogardy.

W dodatku zmuszają do wykonywania dziwnych ruchów lub oczekiwania z dziwnym wyrazem twarzy.

Wtedy można się zaprzyjaźnić, w końcu jest tylko wrogiem, bezlitosnym zapisem upadku, rozpadu albo innej niezwyklej okoliczności. Wnika głębiej niż się wydaje, najpierw z pełną czułością i sympatią, z beztroskim zadowoleniem lub satysfakcją, że ciągle jeszcze się udaje. Nawet rzeczy dokoła nie drażnią, są ważnym elementem tła, czasem zasłaniają twarz smugą dymu, ale to także jest na sprzedaż. Dźwięk przechodzi na wskroś, zdziera uśmiechnięte maski lekceważenia.

Zmusza do ubrania się i oczekiwania na pierwszą, kolejną falę uderzenia, nie będzie litości.

Czy to jest zjawisko z oddali czasu czy tylko zwykła sprawa codzienna? Niczego nie przypomina, a przecież zdarzyło się już kilka razy. Na wypalonej ziemi, na pogorzeliisku po schronieniu, na zbyt gorącym skrawku przestrzeni po zniszczonym ogrodzie. Nie może być zamknięte w kleszczach dzwonu czy jaskini, nie nadużywa słów, lubuje się w samogłoskach, z trudem rzeźbiąc drogę przez serce i wnętrze. Obraz nie ma znaczenia, nawet gdy zostaje sam, nagi, zawsze winny.

Zmusza do spojrzenia, jakby było widzialne, jakby zawierało oczekiwany powrót.

Nie jest przecież słowem, zniekształca głoski, tworząc tylko pasmo odbite w każdej komórce i każdej kropli krwi. Nie ma specjalnych ambicji, nie żąda utrwalenia lub powtarzania, chociaż bardzo by chciało być długim zakończeniem, podpisem pod bezsilnością, eleganckim odejściem od pustki do pustki. Trudno je oskarżyć o rozbijanie kryształu, ogłuszający ból nad ranem czy inne zjawiska znane z poprzednich doświadczeń. Obraz ma pierwszeństwo, ono niszczy każdy obraz odnaleziony w mroku.

Ostatnie słowo

- Chcesz mieć ostatnie słowo? Proszę bardzo, powiedz.
- Czekam. Tak trudno znaleźć teraz ostatnie słowo? To śmieszne.
- I o jest twoje ostatnie słowo? Co to w ogóle, kurwa, za słowo? Co to ma być?
- Jeszcze jedno? Miało być jedno i ostatnie. Postaraj się. Czekam.
- Ile można się zastanawiać? Proszę, raz i po wszystkim. Po męsku.
- To jakieś pierdolone kpiny? Zwykle brednie. Nie ma już na to czasu.
- Ustępuję, zgadzam się, nic nie mówię. Po prostu czekam i czekam.
- To takie żalosne, nawet poniżające. A mogło już być po wszystkim.
- Chyba nic z tego nie będzie, co? Kompletna porażka. Dno.
- Kiedy indziej? O nie, kiedy indziej będzie za późno. Teraz też już za późno.
- O nic nie musisz mnie prosić. Nie ma do powiedzenia nic więcej.
- Ależ oczywiście. Kiedy tylko zechcesz, ale nie ze mną. Nie mam już siły.
- Ja też nie mam nic więcej do powiedzenia. Wystarczy.
- Zrób jak uważasz. To w końcu twoja decyzja co i jak zrobić.
- Nie, rozmowa już nie ma sensu. Wszystko zostało powiedziane.

Minął pewien czas. Po prostu tamten odszedł, przyszedł nowy, potem następny. Ostatnie słowo nie padło, gdyż nie zostało odnalezione. Wśród setek ostatnich słów używanych w takich sytuacjach. Bo tak trudno było się zdecydować, które z nich najlepiej poradzi sobie z olbrzymimi oczekiwaniami wobec ostatnich słów. To, na swój haniebny sposób, słowna arystokracja. Mniej liczna i bardziej świadoma swej wagi niż inne grupy. Nawet niż grupa słów pierwszych. One raczej nie występują samodzielnie. Muszą łączyć się w zdania i długie ciągi myślowe. Są narody, które wręcz wyspecjalizowały się w tworzeniu ostatnich słów. Czasami zdarza nam się nawet z nich korzystać. Jak np. słowo „amen”, o którym raczej nie myślałem na początku.

